

OPERACJA DUNAJ



JACEK KONDRACKI
ROBERT URBAŃSKI



Wydawnictwo
ab
two







JACEK KONDRACKI

(ur. 1956) – autor słuchowisk radiowych, scenariuszy filmowych, telewizyjnych i teatralnych. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego i Łódzkiej Filmówki. Filmy według jego scenariuszy to między innymi: *Łuk Erosa* (reż. Jerzy Domaradzki), *Męskie sprawy* i *Pamiętnik znalezione w garbie* (reż. Jan Kidawa-Błoński), *Bride of War* (reż. Peter Edwards), *A mi szerelmünk* (reż. József Pacskovszky), *Operacja „Dunaj”* (reż. Jacek Glomb). Był szefem Agencji Scenariuszowej, zasiadał w jury polskiej edycji konkursu scenariuszowego o nagrodę Hartley-Merrill, wydawał książki o tematyce filmowej. Członek Europejskiej Akademii Filmowej.



ROBERT URBAŃSKI

(ur. 1976) – absolwent polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim, w 2005 roku obronił pracę doktorską *Trzynastowieczne najazdy mongolskie w literaturze polskiego średniowiecza*. Jest kierownikiem literackim Teatru im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy, dla którego napisał sztuki *Wschody i Zachody Miasta* (2003, wersja TV 2005), *Szawel* (2004), *Operacja „Dunaj”* (2006) i *Łemko* (2007), wszystkie zrealizowane w reżyserii Jacka Glomba. Zredagował tom *Teatr Miasta – Miasto Teatru. Dawna Legnica i jej teatr we wspomnieniach mieszkańców* (2003) oraz antologię *Dramaty Modrzejewskiej* (2007). Przetłumaczył książkę Ericha Auerbacha *Język literacki i jego odbiorcy w późnym antyku łacińskim i średniowieczu* (2006). Jest laureatem nagrody za *Zabijanie Gomułki* (adaptacja powieści Jerzego Pilcha *Tysiąc spokojnych miast*) w XIII Ogólnopolskim Konkursie na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej (2007).

OPERACJA DUNAJ

JACEK KONDRACKI
ROBERT URBAŃSKI

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2009
Wydanie I
Warszawa 2009

*Idę, wróćę –
O nic nie pytaj dziś.
Przyjdę, nie zasmucę,
Powieм, po com musiał iść!*

Bronisław Brok, Jerzy Wasowski,
Po ten kwiat czerwony (1968)

I

Wielkie czasy wymagają wielkich ludzi. Istnieją bohaterowie nieznani, skromni, bez sławy i historii Napoleona. Analiza ich charakteru zaćmiłaby jednak sławę nawet Aleksandra Macedońskiego.

Jaroslav Hašek, *Przygody dobrego wojaka Szwejka*
(przeł. P. Hulka-Laskowski)



Ciemności jeszcze przez chwilę kryły ziemię i cisza otulała mroczne sosny oraz kapryśną leśną drogę, która – jak mawiał legendarny w całej dywizji pułkownik Paliczuk – „prosta jak strzała wiła się między drzewami”. Po chwili jednostajnie zacharczał czterosuwowy radziecki silnik, światła i cienie zatańczyły nierówno na gałęziach. Ktoś nadjeżdżał z gęstej, sierpniowej nocy, z wojenną determinacją parł przez mrok i głuszę, brawurowo ślizgał się po wykrotach. Wreszcie pomiędzy szpaleru sosen wykolebał się zgniżozielony wojskowy gaz 69, chluba dwu produkcyjnych kolektywów – w Gorkim i w Uljanowsku; pojazd ściał ryzykownie zakręt, plunął mokrą ziemią spod kół, o włos minął zabójcze pnie na skraju lasu i pomknął dalej.

„Jak bym się, kurwa, zabił, tobym, kurwa, nie dojechał!”, pomyślało się kierowcy w galowym oficerskim mundurze. Uczepił się jeszcze mocniej rozdygotanej kierownicy; tak zakotwiczony i niejako miotany epileptycznym szalem skierował auto przez koleiny ku widocznym już w perspektywie nocy stalowym wrotom.

Gazik zahamował z hydraulicznym jękiem; stał, parując, przed pstrokatą od zakazów, nakazów i kategoriycznych po-

uczeń bramą koszar Ludowego Wojska Polskiego. Drzwi terenówki otworzyły się i ze środka wygramolił się niskopienny, przysadzisty czterdziestokilkulatek – sewrski wzorzec kurdupla. Jeszcze przez chwilę synkopował desperacko całym ciałem – jakby chciał wytrząsnąć z siebie wspomnienie mordczej jazdy. Świeżo wyfasowany mundur kapitana wojsk pancernych leżał na nim jak skóra na kielbasie zwyczajnej; gdzieś tam opinał go ściśle i przytłaczająco, były jednak miejsca, których nawet lekkie nakłucie spowodować mogło gwałtowne wytryśnięcie kapitana spod uniformu. Oficer odzyskał w końcu koordynację ruchową i ruszył szybko do bramy, przeskakując kałuże. W kieszeni niósł dwie koperty. Pierwsza zawierała nominację na wyższy stopień oficerski, i ta przyjemnie grzała jego serce. „Dopiero co, kurwa, ledwie generałowie Kufel, Żyto i Baryła własnoręcznie podawali mi rękę”, myślał z satysfakcją. Druga koperta, opatrzona złowieszczy nadrukiem *Tajne specjalnego znaczenia*, adresowana była do dowódcy kompanii czołgów – ta dla odmiany wypalała piętno w męskiej duszy kapitana, od kilku godzin znał bowiem, w ogólnym zarysie, jej groźną zawartość. Teraz jednak energicznie pociągnął za wiszący przy bramie, jak w zakrystii, dzwonek. Odczekał chwilę, nerwowo zerkając w stronę nieodległej wartowni, potem zaniepokojony zupełnym brakiem odzewu zadzwonił ponownie. Jakiś ptak obudził się i wrzasnął szyderczo. Z ochrypłego radia przyplęły do uszu kapitana słowa piosenki:

*Żołnierz dziewczynie nie skłamię,
Chociaż nie wszystko jej powie...*

Otwarte okno wartowni jednocześnie słało ku niemu odgłos donośnego chrapania w nieokreślonej tonacji. To chrypienie i chrapanie definitywnie zaburzyło wewnętrzną równowagę oficera – tym dotkliwiej ugodziły go profetyczne, jakby na nim osobiście żerujące wersy pieśni:

*Wstęga szos, miedzą pól złoconych,
Krętą ścieżką poprzez las...*

– To ja, kapitan Grąźel! – wrzasnął, bezsilnie łomocąc bramą.
– Otwierać, kurwa żeż wasza mać! Ochujeliśta wszystkie!?

Kilka godzin wcześniej, wręczając kopertę z kapitańską nominacją generał aprobowano zionął zapachem bułgarskich spirytualiów i swojskiej wody kolońskiej „Przemysławka”.

– No i widzicie, że my was tego... – wysapał na świeżo upieczzonego kapitana. Pogłaskał się odruchowo po generalskim wężyku i dwu gwiazdkach, którymi upstrzone miał naramienniki, potem zniżył się do Grąźłowego ucha. – A Ceśka, no to tam, jak tam...? No bo my – generał kontynuował, nie czekając na odpowiedź – my, to wiecie, ją bardzo...

„Wiem, kurwa...”, zadzwoniło w mózgu wojaka. Jakaś swobodniejsza myśl poszybowała ku niegdysiejszym poligonom, ale Grążel czym prędzej myśl tę namierzył, otoczył i zlikwidował.

Generał półobrótł się w stronę wiszącej na ścianie mapy i znacząco postukał paluchem w jej południową flankę.

– No to tera wyskoczmy na pilznera. – Poklepał małego rycerza po kapitańskich epoletach. – Żeby nam, jak to mówią, lufa nie zardzewiała – dorzucił familiarnie.

W tym momencie rozedrgana błogość nominata oraz podstępny dygot w obliczu nadchodzących nieuchronnie zdarzeń po raz pierwszy zlały się Grążłowi w jeden słodko-gorzki konglomerat.

„Jak raz na koniec nas chuje dołączyły”, przebiegło przez skołatana głowę kapitana, gdy pomyślał o zadaniu bojowym, które w ostatniej chwili spadło na jego 3. Kompanię.

Szeregowy kot Florian Sapieżyński, wcielony do armii prawem kaduka i innych patronów socjalistycznej praworządności, w zasadzie powinien mieć w wojsku przesrane. Jako czynny uczestnik tak zwanych wydarzeń marcowych sprzed kilku miesięcy, to znaczy warchoł, rewizjonista i syjonistyczna menda, trafił do 3. Kompanii 7. Batalionu 33. Pułku Zmechanizowanego 13. Dywizji Pancerniej LWP celem reedukacji, czyli zgnoje-

nia. Tak się jednak złożyło, że 3. Kompania nie miała ostatnio szczególnych osiągnięć w pracy polityczno-wychowawczej. Nikomu to w zasadzie nie przeszkadzało – jednostka stacjonowała na kompletnym zadupiu, w starych poniemieckich koszarach, zapomniana przez Boga i dowództwo, choć i tu, w środku lasu, zawsze mogła się napatoczyć jakaś zabłąkana inspekcja. Co gorsza, ostatni politruk, młody podporucznik Krakowiak, nie stanął na wysokości zadania. Już po krótkim pobycie w jednostce ten oficer polityczny największych nadziei wyraźnie podupadł moralnie i zdrowotnie. Wraz z nieodłącznym kompanem, porucznikiem Jakubczakiem, zamykali się wieczorami w kantine, skąd dobiegał niedwuznaczny brzęk szkieł i wycie szlagierów. Rankami podporucznik leżał na wyrku z twarzą barwy maskująco zielonej, tuląc do piersi kubek z wodą. O żadnej robocie polityczno-wychowawczej nie mogło być mowy.

Prawdziwe nieszcześnie nadeszło jednak 22 lipca. W Dzień Manifestu wydano w Izbie Pamięci uroczystą kolację. Wygłoszono krótkie przemówienia i motywujące toasty – „no to po lufie i wpiersiod...”. Panowała atmosfera niczym niezmaconego, spirytualnego patriotyzmu; nic nie zapowiadało katastrofy. Delirium dopadło Krakowiaka tuż przed capstrzykiem, zaraz po sałatce śledziowej. Zerwał się nagle od stołu, jakby zamierzał oddać honory wojskowe całej zgromadzonej kadrze, przeciągnął palcami po potylicy i intensywnie przyglądając się wszystkim naraz oraz każdemu z osobna, zupełnie obcym głosem zadał pytanie bez związku:

– Któryś tu cwel nalał mi na głowę?!

Zanim nadbiegli sanitariusze, podporucznik wytłukł część zastawy, przewrócił pamiątkowy stół i za pomocą widelca naruszył cielesność kilku osób, w tym wiecznego porucznika Grażła, a także weterana kadry podoficerskiej starszego sierżanta Edwarda Kotwicza. Zdążył również znieważać słownie nie tylko wyższych stopniem oficerów 3. Kompanii i w ogóle całej dywizji, ale generalnie wszystkie dowódcze gremia sił sojusznicych Układu Warszawskiego. Zelżył rząd kierowany przez premiera Józefa Cyrankiewicza oraz partię z towarzyszem Władysławem Gomułką na czele; nie popuścił nawet nowemu Przewodniczącemu Rady Państwa, marszałkowi Marianowi Spychalskiemu. Po dłuższej szamotaninie, osaczony przez oprawców w białych kitlach i zielonych mundurach, nieszczęsny Krakowiak opadł z sił i zaszlochał żałośliwie, powtarzając w kółko zapamiętaną poetycką frazę: „Mamo, powiedz mi, dlaczego?” Z tymi słowami wywleczono go brutalnie z Izby Pamięci i z pamięci 3. Kompanii.

W tych okolicznościach zaszczyt i obowiązek politycznej indoktrynacji żołnierzy wziął w swoje ręce dowódca jednostki. A były to ręce frontowe, żelazne i politycznie nieugięte, a zarazem delikatne i czułe – zwłaszcza w stosunku do młodszej kadry. Palec dowódcy wskazał nieomylnie na Floriana.

– Wy, Sapieżyński, nadepnięliście socjalizmowi na odcisk – powiedziała siła dowódcza – ...i socjalizm mógłby was za to zajebać! A on was tylko lekko kopnął w dupę. I ja wam

gwarantuję, Sapieżyński, że wy się za tą dobroć socjalistycznej Ojczyźnie odwdzięczycie.

Tym właśnie sposobem były student filologii polskiej i nie-pohamowany żarłok został mianowany redaktorem „Trybuny Żołnierza Ludowego” – kompanijnej gazetki ściennej. Pochylał się teraz pracowicie nad jej niedokończoną płachtą – choć może bardziej nad dwiema pajdami chleba umieszczonymi symetrycznie na dwóch rogach „Trybuny”. Pomiędzy pajdą obłożoną salcesonem a pajdą z pasztetową – obie z garnirem korniszonów – rozpościerał się cały bojowy wszechświat. Walały się tam zdjęcia polskich i radzieckich towarzyszy broni, zawsze w kordialnej komitywie. Pałkownicy lornetowali przedpole ramię w ramię z pułkownikami, generałmajory poklepywali po plecach generałów. Ręka ministra generała Jaruzelskiego ugrzęzła w monstrualnej łapie marszałka Iwana Ignatiewicza Jakubowskiego – a jednak generał spoglądał mu w oczy z ufnością, jak przylepny jelonek w omszałego, wypasionego bawołu. Wszystko to spinał i ogarniał przyklejony wyżej napis: *Wygramy wojnę o pokój! Socjalizm naszym celem!* Obok, po sąsiedzku, stłoczyły się inne fotografie – armaty, haubice i czołgi wypinały się drapieżnie ku nieznanym celom, a prości żołnierze, uzbrojeni w różne rodzaje broni automatycznej, składali się do strzału. W tych partiach gazetki Florian przyklejał właśnie ostatnie literki, które układały mu się w hasło: *Żołnierzu socjalistycznej ojczyzny, zawsze trafiaj pierwszym pociskiem do celu!* Zachichotał złośliwie, sięgając po zasłużoną

kanapkę. Znad leżącej na podłodze płachty blisko było do gabloty na ścianie korytarza, gdzie zawisnąć miał owoc redaktorskiego trudu. A jeszcze bliżej do drzwi Izby Pamięci, zza których nadciągały kuszące odgłosy – skrzypienia, szurania, śmiechy i pojękiwania.

– Tera ja wierzchem... wio ogierze! – zdawał się rozkazywać za drzwiami głęboki, ale jakby damski baryton.

– Teraz nie chcę – opędał się tenor, z pewnością męzczyzna.

– Musisz! – uciął pierwszy głos. – Kochasz mnie?!

Florian przełykał nerwowo kęs za kęsem, czując, że pot skrapla mu się na łysiejących zakolach, a okulary w grubych rogowych oprawkach – zaparowują. Rozejrzał się czujnie po korytarzu. Wiedział, że to, co zaraz zrobi, będzie pogwałceniem przyzwoitości i niepisanej umowy z dowódcą, ale dziurka od klucza w drzwiach przyciągała go jak magnes. Oblizał palce z pasztetowej – żeby zdobyć dostęp do niej oraz do salcesonu musiał poświęcić enerdowski zegarek Ruhla – i ruszył na palcach ku drzwiom. Zajrzał...

Początkowo widział ciemność; potem w obramowaniu dziurki od klucza, w poświacie błyszczącego zza okna księżycyca, zaczął dostrzegać cząstkę wyposażenia Izby Pamięci – fragmenty obrazów olejnych ilustrujących szlak bojowy i braterstwo broni, kontury rzeźb, w tym popiersie generała Waltera z zarzuconą na bohaterski tors damską spódnicą koloru khaki, gdzieś w tle zamajaczył drewniany kosynier naturalnej wiel-

kości, z oficerskim butem nasadzonym na kosę. Nagle w głębi pomieszczenia zapaliła się lampka i na przeciwległą ścianę, wypłynęły chińskie cienie pary w namiętnych zapasach.

– Zgaś. Nie świeć po oczach – jęknął tenor.

– Nie wymiękaj, nie bądź zachodnioniemieckim żołdakiem!
– zażądał baryton. – Bo powiem Grąźłowi...

– Nie wydolę, znowu?

– Wydolisz, chabeto rewizjonistyczna – ona przełamała linię obrony. – Galop, gaalop... gaaalop!

Zanim szkła w okularach Floriana zasnuły się mgłą, zdołał jeszcze dostrzec na ścianie potężniejący cień amazonki ujeżdżającej swego nietypowego rumaka – ku ponownemu spełnieniu.

Po zmroku żółtawe kafelki koszarowej toalety zrumieniło światło żarówek, nadając wnętrzu nieomal przytulny charakter. Otwarte drzwi kabin odsłaniały żmudnie szorowany przez nowe roczniki osprzęt defekacyjny, kryjąc zarazem na rewersach mikroepematy w rodzaju: „jeszcze chwila jeszcze chwila i już pujde do cywila” czy też „byłem w czołgu przez dwa lata lufa mi stwardniała jestem pewien dziewczyno że mnie bedziesz chciała”, a nawet „precz z”, którego adresat ulegał tylokrotnemu przeryciu, że był już niemożliwy do odszyfrowania.

Za jedynymi zamkniętymi drzwiami siedział ogolony na pałę szeregowy – prawdziwy szczawik o twarzy niewinnej, rozjaśnionej dużymi, zdumionymi oczami. Nie wykorzystywał tego miejsca zgodnie z przeznaczeniem: był w mundurowych spodniach, na kolanach trzymał otwarty bladoniebieski zeszyt szkolny 32-kartkowy z papieru klasy III. Jak dotąd zdołał sklecić pół strony. Po starannie nakreślonym początku, kolejne słowa coraz bardziej przechylały się na burtę, bazgrane w rosnącym zapamiętaniu:

Drogi Janku. Już drugi raz piszę do Ciebie, jak młody pancerny do starszego kolegi i do bohatera...

Tamten list, co mi nie odpisałeś, on może zaginął na pocście. Dlatego jeszcze raz się przedstawiam krótko: też mam na imię Janek (Jan), chociaż mnie wołają Jasiu, i bym chciał być takim żołnierzem jak Ty. Ale to łatwo powiedzieć, nie? Przecież faszyci już dawno pobici, jest socjalizm i pokój, i bohaterem to niełatwo zostać. Chyba żeby na naszą Ojczyznę napadł jakiś wróg, co nie daj Boże!

Utkwiwszy spojrzenie w roju ciem, komarów i muszek, tańczących wokół klosza, Jasiu ogryzał koniec ołówka. Niełatwo pisać taki list...

Do wojska przyszedłem niedawno, ale się dużo już nauczyłem. Jak mówi mój wujek, sierżant Kotwicz Edward, najlepiej na świecie być polskim żołnierzem.